

TEATR

Antygone
wśród
marines

OLGIERD
JĘDRZEJCZYK

Jesienią 1973 roku Andrzej Wajda przedstawił krakowskiej publiczności swoją wizję „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego. Kraków umie się odnieść właściwie do swoich twórców — 20-letnie związki tego reżysera z pierwszą sceną Krakowa, jednego z najważniejszych teatrów Polski, czciliśmy godnie nie tylko rozważając zasługę przewagi, ale z niecierpliwością czekając na nowe przedstawienie tego artysty. Nim doszło do owej premiery — Teatr

Nr 9 — 26 II 1984 r.

14 TK

Stary im. Heleny Modrzejewskiej wznowił 13 stycznia br., przeto w 10-lecie słynnej premiery, „Noc listopadową” Stanisława Wyspiańskiego w reżyserii Wajdy, ze scenografią Krystyny Zachwatowicz (też świętującej swe długoletnie związki z teatrem krakowskim), z przejmującą muzyką Zygmunta Koniecznego i układem ruchu scenicznego Jacka Tomasika.

„Noc listopadowa” nie miała szczęścia do tzw. realizacji zawodowej za życia poety. Wiadomo, że 25 kwietnia 1903 r. w sali „Sokoła” uczniowie VII klasy Gimnazjum św. Anny (obecnie I Liceum im. Bartłomieja Nowodworskiego) wykonali m.in. pierwszą scenę „Nocy” w reżyserii Józefa Sosnowskiego. Wyspiański konsultował przedstawienie, był na próbie generalnej. Prapremiera w teatrze zawodowym odbyła się 28 listopada 1908 r. dla uczczenia rocznicy powstania listopadowego i pierwszej rocznicy śmierci Stanisława Wyspiańskiego...

Współczesna „Noc listopadowa” to przede wszystkim dzieło Andrzeja Wajdy. Przysłoniło ono niejako inne inscenizacje dzieł Wyspiańskiego na scenach naszego kraju, ale też ukazanie całego polskiego rozdarcia w słynną noc początku powstania, rysunek psychologiczny księcia Konstantego, zdrada i bohaterstwo, męczeństwo nie tylko przegranej militarnej, ale również w obrębie idei państwowej, idei niezawisłości ducha — wszystko to znalazło znakomitych interpretatorów przed 10 laty.

Czy współcześnie aktorzy utrzymali tamte wartości samej

warstwy teatralnej przedstawienia, czy w uproszczonej scenografii potrafili wywołać nastroje uniesienia patriotycznego, tak pięknie przed laty wyśpiewane przez Barbarę Bosak, której głos zanotowany na taśmie rozbrzmiewa i dzisiaj ze sceny Teatru Starego? Chyba tak. Piszę „chyba”, ponieważ Teresa Budzisz-Krzyżanowska w roli żony księcia Konstantego jak gdyby mniej naiwności i mniej niewieściej nieustępliwości pokazała. Na tle Jana Nowickiego, który nie poddał się działaniu czasu (w sensie politycznego programu, jaki prezentuje satrapa carski), rola księżnej jakby przyblakła.

Teatr Stary wznowił również „Nastazję Filipowną” według „Idioty” Dostojewskiego w reżyserii Wajdy. I tutaj Jan Nowicki nieustannie, nakładem olbrzymiej energii, gra rolę Rogożyna — wrzaskliwego, rozdygotanego przyjaciela arystokraty. Tłem dla Nowickiego był Jerzy Radziwiłowicz.

Wreszcie doczekaliśmy się zapowiadanej długo premiery „Antyfony” Sofoklesa w reżyserii Andrzeja Wajdy, ze scenografią Krystyny Zachwatowicz i muzyką Stanisława Radwana. Przedstawienie wzbudziło olbrzymie zainteresowanie i nie od rzeczy będzie podkreślenie, że robota reżyserska Wajdy tu w Polsce, tu w Krakowie, nabiera najgłębszego sensu związków z kulturą ojczystą, najgłębszego sensu, który wiąże się z określonym wyborem artysty.

„Antygone” Sofoklesa w reżyserii Andrzeja Wajdy to wizja oryginalna, odrębna, często nawet zahaczająca o ryzyko... po-

prawiania autora. Przede wszystkim Wajda przesłonił chórem z Koryfeuszem wszystko to, co dzieje się między Kreonem i Antygoną. Może to budzić zastrzeżenia. Ale zasadność owego wyboru scenicznego łączy się z istotą dramatu starożytnego: pojęciem odpowiedzialności człowieka za swe postępowanie, za związek istotny z wyznawanymi zasadami moralnymi i religijnymi, z pojęciem prawdy i kłamstwa, siły, przemocy i nieustępliwej wiary w sprawiedliwość.

Zbiorowy bohater „Antyfony” w reżyserii Wajdy rozpoczyna przedstawienie sceną zakończenia wojny; wszyscy ubrani są w mundury piechoty morskiej, noszą karabiny i pistolety maszynowe, wrzeszczą, strzelają na wiwat. Potem pojawiają się na scenie w garniturach cywilnych, nieco podniszczonych — słowem, kombatanci z orderami przypiętymi pod kieszonką na lewej piersi. Po raz trzeci chór zmienia skórę — ludzie młodzi, ubrani stosownie do zasad własnej młodzieżowej mody, skandują imię Antyfony, która żyć będzie wiecznie. Do tego miejsca pomysł Wajdy tłumaczy się bardzo wyraźnie, bez osłonek. Jest to krzyk protestu przeciw wojnie. Wizja plastyczna tej grupy na scenie wiąże ją natychmiast z tym, co oglądamy na ekranach telewizyjnych i kinowych w sprawozdaniach z bratobójczych, morderczych walk na Bliskim Wschodzie. W ostatnim wejściu chóru — stroje zamieniono na kufajki i helmy ochronne robotników. Wtedy właśnie chór mówi o mądrości — jedynym źródle szczęścia.

Przekład Stanisława Hebanowskiego, opracowany w każdym szczególe muzycznym, pozwala wyśpiewywać na różne sposoby kwestie chóru. Są to melodie różne, przebiega jednak najczęściej przez nie melodia współcześnie śpiewanych w zakonach polskich hymnów i kantyków. I dopiero w tym miejscu, kiedy owi robotnicy-chór pouczają i bohaterów „Antyfony”, i przejętych widzów, dostrzegamy wyraziście wątek zasadniczy, spór między Kreonem i Antygoną.

Tadeusz Huk, jako okrutny, przecież nie bezmyślny król Teb, zagrał swą rolę porywajaco. Dokonał rzeczy niezwykle trudnej: pokazał przemianę okrutnika w tchórze, potem — w bolejącego ojca, który zrozumiał swój błąd. Ale już sprawy nie odwrócił! Dźwiga więc wspólnie z marines trumnę ze zwłokami Hajmona (grał go Krzysztof Globisz), rozpacza, potrząsa głową przykrytą jak gdyby rytualną szatą żydowską? grecką? Ekspresja aktora w tym przypadku doskonale służyła zarysowaniu wartości artystycznych kreacji.

Kreon jest takim współczesnym łobuzem, który ma poczucie siły, zbroi się i potem wpada w pułapkę tych zbrojeń. Antygonę grała Ewa Kolasińska. Artystka ta natychmiast po wyjściu w pierwszej kwestii przedstawiła jak gdyby całość sprawy. Od razu była to rozpacz, nieszczęście i pod tą powłoką tradycyjnej wręcz „draperii” trochę ginęła racja wierności samej sobie. Terejasz, który wróży upadek okrutnika

Kreona, w wymiarze roboty artystycznej Jerzego Bińczyckiego, to postać osobna, jakby trochę z innego przedstawienia, wydłużająca w czasie scenę złowrogiego dla króla Teb proctwa.

Podobnie potraktować należy scenografię Krystyny Zachwatowicz.

Za wyniosłą, przeźroczystą, podzieloną na pola ścianą nad sceną widzieliśmy fragmenty kolumn i tympanonu; korespondowało to z portalem, skąd nadchodził ślepy Terejasz prowadzony przez małego chłopczyka.

Mniej przypadła mi do gustu maniera komunikatu, „wydukane” przez Agnieszkę Mandat na jednym tonie; był to właściwie jedyny nietrafny pomysł reżysera. Natomiast Eurydyka Alicji Bieniewicz i Strażnik Wiesława Wójcika to role epizodyczne, o dużym ładunku interpretacyjnym. Rozpacz matki i zakłopotanie strażnika-siepacza składały się dobrze z zamysłem rozwoju samej fabuły „Antyfony” Sofoklesa.

Krakowianie zareagowali na premierze bardzo znamienne: największe brawa dostał chór. Jego uczestnikami byli — Koryfeusz Ryszard Łukowski, Urszula Kiebzak-Dębogórska, Beata Malczewska, Monika Rasiewicz, Grażyna Treła-Stawska, Rafał Jędrzejczyk, Jan Korwin-Kochanowski, Zbigniew Kosowski, Jan Monczka, Adam Romanowski, Marcin Sosnowski, Leszek Świągół, Edward Zentara. Ten wybór i wybuch braw był uzasadniony, czego dowiedliśmy w opisie znamiennej dla polskiego teatru premiery.